



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

NR 268

№ 8 (c).

KRZYWDA

(ŻYCIE FANTYNY)

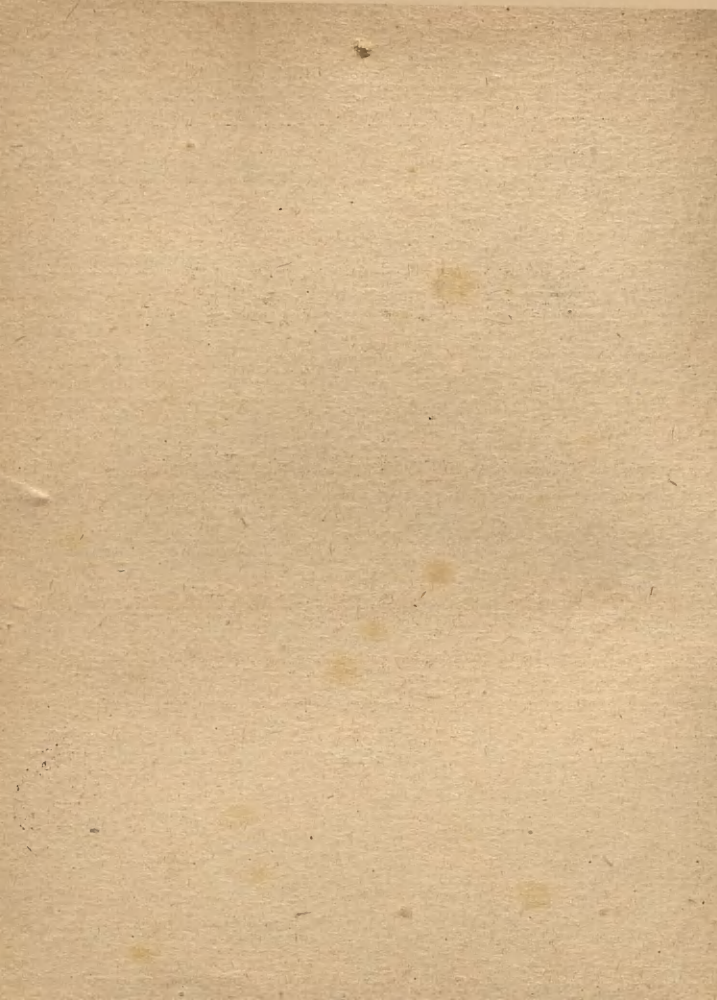
opowiadanie

według powieści W. Hugo: „Nędzarze”.



Warszawa — 1920

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.



268

CZYTANIA ŻOŁNIERSKIE — № 8 (c).

KRZYWDA

(ŻYCIE FANTYNY)

opowiadanie

według powieści W. Hugo: „Nędzarze”.

KOBOS TADEUS

L.....



Warszawa — 1920.

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.

Wydane z polecenia Sekcji Oświaty i Kultury
Oddz. III Szt. M. S. Wojsk. — 20/XI 1920.

DRUKARNIA J. KONDECKIEGO
MARSZAŁKOWSKA № 53 a.

Niespodzianka.

W roku 1817 czterech młodych Paryżan urządziło „dobry kawał”.

Jeden z nich nazywał się Feliks, drugi Leon, trzeci Karol, ostatni Adolf. Naturalnie każdy z nich miał kochankę. Adolf kochał Faworytę, Leon uwielbiał Dalję, Karol ubóstwiał Zefinę, Feliks miał Fantynę, inaczej Jasnowłosą, tak zwaną dla pięknych włosów koloru słońca.

Faworyta, Dalja, Zefina i Fantyna, były to cztery zachwycające stworzenia, pachnące, rozpromienione, jeszcze trochę robotnice, bo niezupełnie zarzuciły igielkę; miłości wprowadziły nieład w ich życie, ale na twarzy pozostały jeszcze resztki owej pogody, jaką daje praca.

Żeby nic nie ukrywać, powiedzmy, że trzy pierwsze były doświadczone, więcej lekkomyślne i więcej porwane wirem życia, aniżeli Fantyna

Jasnowłosa, która przechodziła przez pierwsze swoje złudzenie.

Fantyna była jedną z owych istot, które rozkwitają, rzecz można, na dniu narodu. Kto byli jej rodzice? Któż to mógł wiedzieć? Nikt nie znał ani jej ojca, ani matki. Nazywała się tak, jak się podobało nazwać ją pierwszemu lepszemu, co ją spotkał malutką, idącą boso po ulicy. Nazwano ją małą Fantyną. Nikt więcej nie wiedział. Ludzkie to stworzenie takim sposobem wstąpiło w życie. Mając lat dziesięć, Fantyna opuściła miasto i poszła na służbę do okolicznych kolonistów. W piętnastym roku udała się do Paryża „szukając szczęścia”. Była to ładna blondynka z pięknymi zębami. W posagu miała złoto i perły. Ale złoto jej było na głowie, a perły w ustach.

Pracowała na życie. Pokochała.

Pokochała Feliksa.

Dla niego miłośćka, dla niej miłość.

Fantyna długo uciekała od Feliksa, ale tak, że go zawsze spotkała. Jest sposób unikania bardzo podobny do szukania. Krótko mówiąc, była to sielanka.

Adolf, Leon i Karol tworzyli rodzaj grupy, której naczelnikiem był Feliks. On to miał rozum.

Feliks był bogaty: miał cztery tysiące franków dochodu.

Był to trzydziestoletni człowiek, który używał życia i źle się przytem konserwował. Miał zmarszczki, a nie miał zębów; na głowie zaś łysinę, o której sam wesoło opowiadał: łysina w trzydziestu, kolano w czterdziestu. Dostyc źle trawił i jedno cko łzawiło mu się. Ale w miarę tego, jak młodość gasła, zapalała się wesołość; zęby zastępował dołcipami, włosy wesołością, a oko, które płakało, śmiało się wciąż. Młodość jego, znikając przed czasem, cofała się w dobrym porządku, śmiejąc się głośno tak, że nikt tego nie spostrzegał.

Pewnego dnia Feliks odprowadził na stronę trzech swoich kolegów i rzekł do nich:

— Od roku już prawie Fantyna, Dalja, Zefina i Faworyta proszą byśmy im zrobili jaką niespodziankę. Obiecaliśmy im ją uroczyście. Wciąż mówią o niej, mnie szczególnie. Mówią mi bezustannie: Feliksie, kiedyż będzie niespodzianka? Jednocześnie rodzice nasi piszą do nas. Z obu

s'ron nalegają. Zdaje mi się, że pora nadeszła. Pomówmy o tem.

Tu Feliks zniżył głos i tajemniczo wyrzekł coś tak wesołego, że wszyscy czterej naraz wybuchnęli ogromnym, szyderczym śmiechem, a Adolf zawołał:

— To dopiero pomysł!

D szedłszy do jakiejś szynkowni, pełnej dymu, weszli do niej i koniec narady pozostał w tajemnicy.

Wskutek tej narady czterej młodzi ludzie zaprosili cztery młode dziewczęta na świetną zabawę, która miała miejsce następnej niedzieli.

Cztery pary użyły sumiennie wszystkich przyjemności wiejskich, jakie tylko były możebne.

Był to początek wakacji, ciepły i jasny dzień letni.

Dziewczęta hałasowały i szczebiały, jak ptaszki, co się z klatki wymknęły. Szalały. Od czasu do czasu lekko uderzały młodych ludzi. O wiosenne upojenie życia! Zachwycające lata! Ochl ktokolwiek bądź jesteś czytelniku, czy pamiętasz? Czy przechadzałeś się kiedy wśód krzaków, usu-

wając gałęzie z ponad ślicznej główki, która szła za tobą?

Wszystkie cztery były szale i ładne.

Co do Fantyny, było to uosobienie wesołości. Pyszne jej ząbki miały widocznie przez Boga wyznaczoną sobie czynność: śmiech.

Wielkie jej jasne włosy, łatwo rozwiewały się i rozwiązywały, tak, że wciąż trzeba je było przypinać. Różowe jej usta szczebiotały z niewypowiedzianym wdziękiem.

W całym jej stroju było coś śpiewnego i promieniejącego. Jasnej twarzy, delikatnego profilu, oczu ciemno niebieskich, miała wielkie powieki, nogi małe i wysokie na podbiciu, skó ę białą, przez którą tu i ówdzie przeglądały niebieskie żyłki, policzki świeże i delikatne.

Fantyna była piękną, nie bardzo wiedząc o tem.

Uważny badacz byłby w niej dostrzegł z poza całego tego upojenia wieku, pory roku i miłości, niezatarty wyraz skromności i wstydlivosti.

Chociaż niczego nie odwówała Feliksowi, o czem się później aż nadto przekonamy, twarz jej w spoczynku była najzupełniej dziewiczą; w pew-

nych chwilach pojawiał się na niej rodzaj poważnej, niemal surowej godności.

Dzień ten był od początku do końca promiennym jak zorza. Cała przyroda zdawała się śmiać i weselić. Ogrody rozlewały woń; powiew od rzeki zlekka potrząsał liśćmi, a gałęzie poruszały się od wiatru; pszczoły rabowały jaśminy; całe zgraje motylów obsiadały krwawniki, koniczyny i dzikie owsy; po wspaniałym parku snuły się tłumy włóczęgów, — ptaki.

Cztery wesole pary jaśniały, zlewając się z promieniami słońca, z polami, kwiatami, drzewami. I w tej wspólności rajy rozmawiając, śmiejąc się, śpiewając, biegając, tańcząc, polując na motyle, zrywając kwiaty, świeże, płocze, nie srogie wcale, wszystkie dawały się potrosze całować wszystkim z wyjątkiem Fantyny, która jak zawsze zamykała się w swym nieokreślonym oporze zamyślenia i dzikości i która kochała.

— Ty — mówiła jej Faworyta — jesteś zawsze jakaś.

Młodzież nasza była na nogach od godziny piątej rano; ale bal — niema zmęczenia w nie-

dziele, — mówiła Faworyta — w niedzielę zmęczenie nie pracuje.

Od czasu do czasu Faworyta wołała:

— A niespodzianka? Chcę niespodzianki.

— Cierpliwości — odpowiadał Feliks.

Wreszcie pomyślano o obiedzie i rozpromieniona ósemka, zmęczona wreszcie trochę, zatrzymała się w zajeździe.

Pokój wielki, ale brzydki, dwa okna, z których między drzewami widać było rzekę i bieg jej; wspaniały promień słońca sierpniowego, muskający szyby; dwa stoły: na jednym z nich góra bukieców, pomieszanych z kapeluszami męskimi i kobiecimi; przy drugim cztery pary siedzące dokoła przyjemnie wyglądającego stosu półmisków, talerzy, szklanek i butelek; mało porządku na stole, trochę nieporządku pod stołem.

Oto w jakim stanie była o pół do piątej wieczorem sielanka, rozpoczęta o piątej rano. Słońce miało się ku zachodowi, apetyt przygasał.

Nagle Faworyta, krzyżując ręce i odrzucając w tył głowę, popatrzyła rezolutnie na Feliksa i rzekła:

— No, a jakże? a niespodzianka?

— Właśnie chwila nadeszła — odpowiedział Feliks. — Panowie wybiła godzina, w której mamy sprawić niespodziankę tym paniom. Panie poczekajcie na nas chwilę.

— Zaczyna się od pocałunku — rzekł Adolf.

— W czoło — dodał Feliks.

Każdy z panów poważnie złożył pocałunek na czole swojej kochanki; potem wszyscy czterej, idąc jeden za drugim, skierowali się ku drzwiom, trzymając palec na ustach.

Faworyta klasnęła w dłonie.

— To już zaczyna być zabawne — rzekła.

— Nie bawcie długo — szepnęła Fantyna. Czekamy na was.

Młode dziewczęta, zostawszy same, zbliżyły się do okien i opierając się w każdym z nich po dwie, zaczęły gawędzić, wychylać głowy na zewnątrz i rozmawiać z sobą z jednego okna do drugiego.

Widziały, jak młodzi ludzie, trzymając się pod rękę, wychodzili z zajazdu, odwrócili się, śmiejąc się, pozdrowili je raz jeszcze i znikli w zakurczonym tłumie niedzielnym.

— Nie bawcie długo! — zawołała Fantyna,

— Co oni nam przyniosą — zawołała Zefina.

— Będzie to coś ładnego z pewnością — rzekła Dalja.

Wkrótce potem uwagę ich zwrócił ruch panujący nad brzegiem wody, którą widziały między gałęzmi wielkich drzew; ruch ten bawił je bardzo. Była to godzina w której odchodziły poczty wozowe lekkie i dyliżanse.*)

Przytrafiło się raz, że jeden z tych powozów, które niewyraźnie widać było z poza gęstych drzew, zatrzymał się na chwilę, potem odjechał galopem. Zdziwiło to Fantynę.

— To rzecz szczególna! — Sądziłam, że dyliżans nie zatrzymuje się nigdy.

Faworyta wzruszyła ramionami.— Jaka ona dziwna, ta Fantyna. Dziwi się rzeczom najprostszym. Przypuśćmy tak: ja jestem podróżny i powiadam do dyliżansu: idę naprzód, przejeżdżając, zabierzcie mnie na wybrzeżu. Dyliżans przechodzi, widzi mnie, zatrzymuje się i zabiera mnie. Tak się robi zwykle. Nie znasz życia, moja kochana.

*) Karetki pocztowe.

Upłynął tak czas jakiś. Nagle Faworyta wstrząsnęła się, jak ktoś co się budzi.

— No a niespodzianka? — rzekła.

— A prawda — odrzekła Dalja — słynna niespodzianka!

— Jak oni długo bawią! — rzekła Fantyna.

Zaledwie wymówiła te słowa, wzdychając, kiedy wszedł chłopiec, który podawał do stołu. Trzymał w ręku coś podobnego do listu.

— Co to jest? — zapytała Faworyta.

— Jest to papier, który panowie zostawili dla pań.

— Dlaczegoście go zaraz nie przynieśli?

— Bo panowie kazali go oddać paniom dopiero wtedy, kiedy godzina czasu upłynie po ich odejściu. Faworyta wyrwała papier z rąk służącego. Był to w istocie list.

— Patrzcie! — rzekła — Niema adresu. Ale oto co napisano na wierzchu:

„To niespodzianka”

Szybko odpieczętowała list, otworzyła go, czytała:

„O, nasze kochankil”

„Wiedźcie o tem, że mamy rodziców. Otóż ro-

dzice ci jęczą, starce ci wzywają nas, zacni ci ludzie i dobre te kobiety nazywają nas dziećmi marnotrawnymi, pragną powrotu naszego i obiecują po zabijać cielęta na nasze przyjęcie.

Chcemy im być posłuszni, bo jesteśmy cnotliwi. W chwili, kiedy te słowa czytać będziecie, pięć ognistych koni odwozić nas będzie do naszych ojców i matek. Opuszczamy pole, wymykamy się.

Jedziemy, pojechaliśmy. Wracamy na łono społeczeństwa, obowiązku i porządku, wracamy wielkim kłusem robiąc trzy mile na godzinę. Krajowi zależy na tem, byśmy byli, jak wszyscy inni, ojcami rodzin, członkami rady lub urzędnikami. Cziczcie nas. Poświęcamy się. Opłakujcie nas i jak najprędzej postarajcie się o następców. Jeżeli ten list wyda się wam rozdzierającym, zemścijcie się na nim i podrzyjcie go wzajemnie. Żegnamy was.

Przez dwa lata prawie uszczęśliwialiśmy was. Nie miejcie o to żalu do nas.

Podpisano.

Adolf. Karol. Leon. Feliks.

P. S. Obiad zapłacony.

Dziewczęta popatrzyły na siebie. Faworyta pierwsza przerwała milczenie.

— No, zawołała — w istocie, dobry kawał.

— To bardzo zabawne — rzekła Zefina.

— To pewnie Feliksowi przyszedł ten pomysł — rzekła Faworyta.

— Niech żyje Feliks! — wykrzyknęły Dalja i Zefina.

I wybuchły śmiechem.

Fantyna śmiała się razem z innymi.

W godzinę potem, kiedy znalazła się sama w swoim pokoju, zapłakała. Była to, jak już mówiliśmy, pierwsza jej miłość; oddała się Feliksowi jak mężowi i biedna dziewczyna miała dziecię.

Skowronek.

W pewnym miasteczku niedaleko Paryża, był rodzaj garkuchni. Ulicę przed garkuchnią zawałał ogromny wóz. Pod osią wozu zwieszał się dosyć blisko ziemi gruby łańcuch, a na nim, jak na sznurze huśtawki, siedziały tego wieczora dwie małe dziewczynki, mniejsza siedziała w objęciu większej.

Dzieci, dosyć wdzięcznie i z pewnem wyszukaniem ubrane, promieniały radością; wyglądały jak dwie różyczki.

O kilka kroków dalej, na progu zajazdu siedziała matka, kobieta niezbyt przyjemnej powierzchowności, ale w tej chwili mająca wyraz rzewny, i za pomocą długiego sznurka huśtała dziewczynki. Kołysząc swoje maleństwa, matka nuciła fałszywym głosem piosenkę. W chwili, kiedy zaczynała strofkę piosenki, ktoś się zbliżył do niej i nagle usłyszała tuż nad uchem głos mówiący do niej:

— Masz pani ładne dzieci.

O kilka kroków przed nią stała kobieta. Kobieta ta miała również dziecko, które trzymała na rękach. Oprócz tego niosła dosyć wielki worek podróżny, który zdawał się być bardzo ciężki.

Dziecię tej kobiety było najśliczniejszą pod słońcem istotą. Była to dziewczynka, mająca od dwóch do trzech lat. Śliczne miała rumieńce i wyglądała nadzwyczaj zdrowo. Dziewczynka spała.

Matka miała powierzchowność smutną i ubogą. Ubrańa była jak robotnica, chcąca wrócić do s'anu wieśniaczego. Była młodą. Czy była piękną?

— może; ale przy ubraniu takim, jakie na sobie miała, nie widać było tego. Włosy jej, których jasny promień wymykał się, musiały być bardzo gęste, ale ukrywał je surowo czepek brzydki, obcisły i zawiązany pod brodą. Oczy jej oddawna już nie osychały, jak się zdawało. Była blada; wyglądała zmęczona i trochę słaba. Miała ręce opalone, na wskazującym palcu skórę stwardniałą i pokłutą przez igłę, p'aszczyk ciemny, wełniany, suknię p'ócienną i wielkie trzewiki. Była to Fantyna.

Była to Fantyna. Trudna do poznania. Jednakże przypatrując się baczniej, można było odnaleźć w niej dawną piękność. Na prawym policzku zjawiała się smutna zmarszczka.

Wiele miesięcy upłynęło od „dobrego kawału”.

Co zaszło przez te miesiące łatwo się domyśleć.

Po opuszczeniu — niedostatek.

Ojciec dziecięcia jej odjechał i ona została sama, straciwszy nawyknięcie do pracy i nabywszy upodobania do przyjemności.

Wskutek stosunku swego z Feliksem zarzucała małe rzemiosło, które miała, zaniedbała miej-

ście, gdzie znajdowała zbyt na swoją pracę i środek ten utrzymania się był przed nią zamknięty. Żadnego sposobu do życia. Fantyna umiała zaledwie czytać i nie umiała pisać; w dzieciństwie tylko nauczyła się podpisywać swoje imię. Przez publicznego pisarza napisała jeden list do Feliksa, potem drugi, potem trzeci. Feliks nie odpowiadał na żaden. Pewnego dnia Fantyna usłyszała, jak kumoszki mówiły między sobą, patrząc na jej córkę — Któż bierze poważnie podobne dzieci? Ramionami tylko wzruszać można nad nimi! — Wtenczas pomyślała o Feliksie, który wzruszał ramionami nad jej dziecięciem i który tej niewinnej istoty nie brał poważnie, i serce jej nappełniło się gorzkim uczuciem względem tego człowieka. Ale co począć? nie wiedziała już, do kogo ma się udać. Popełniła błąd, ale czystość i cnota były podstawą jej natury. Czuła niewyraźnie, że stała na progu nędzy i że mogła zsunąć się nisko, najniżej. Trzeba było odwagi; zdobyła się na nią i utrzymała się na miejscu.

Przyszło jej na myśl wrócić do rodzinnych stron. Może tam znajdzie kogo ze znajomych i dostanie pracę: tak, ale w takim razie trzeba by

ukrywać swój błąd. I przewidywała już potrosze możliwą konieczność drugiego rozstania się, boleńszego jeszcze niż pierwsze. Serce jej ścisnęło się, ale zdecydowała się. Odważnie wyrzekała się już stroju i ubrała się w płócienko, a wszystkie swe jedwabie, wszystkie ga'ganki, wszystkie wstążki i koronki włożyła na swą córkę.

Mając dwadzieścia lat, opuściła Paryż niosąc swe dziecię na plecach. Ktoby je był ujrział wtedy, byłby się litował nad niemi. Kobieta ta miała tylko to jedno dziecię na świecie, a dziecię to miało tylko tę jedną na świecie kobietę. Fantyna wykarmiła swą córkę; to zmoczyło jej pierś i kaszlała trochę.

Nie będziemy mieli więcej sposobności mówić o Feliksie. Tyle tylko powiemy, że we dwadzieścia lat później był to opasły adwokat prowincjonalny wpływowy i bogaty, roztropny wyborca i bardzo surowy sędzia przysięgły; a przytem zawsze lubiący przyjemności.

Fantyna odbywała podróż pieszo.

Kiedy przechodziła przed zajazdem dwie małe dziewczynki zachwycone swą huśtawką, ukazały się jej jak widzenie radości i swoim widokiem

olśniły ją niejako. Patrzyła na nie ze wzruszeniem. Zdawało się jej, że ponad zajazdem tym widzi tajemniczy wyraz „Tutaj,” nakreślony ręką Opatrzności. Dwie dziewczynki były widocznie szczęśliwe. Patrzyła na nie i podziwiała je z takim wzruszeniem, że w chwili, kiedy matka zatrzymała się między dwoma wierszami swojej piosenki, ona nie mogła się powstrzymać od wyrzeczenia słów, któreśmy wymienili:

— Masz pani ładne dzieci.

Najdziksze stworzenia rozbroić można, darząc pieczytą ich małe.

Matka podniosła głowę i podziękowała; ponieważ sama siedziała na progu, zaprosiła podróżną, by usiadła na ławeczce stojącej około drzwi. I zaczęły rozmawiać z sobą.

Nazywam się Tenardjer — rzekła matka dwóch dziewczynek — trzymamy ten zajazd.

Podróżna opowiedziała swą historję, z pewnemi jednak w niej odmianami.

Że była robotnicą, że mąż jej umarł, że nie mogła znaleźć pracy w Paryżu i szła szukać jej gdzieindziej, w swoje strony; że opuściła Paryż tegoż rana, pieszo; że miała szła wprawdzie trochę,

ale niewiele, takie to małe, że trzeba ją było wziąć na ręce i że maleństwo usnęło. I to mówiąc, namiętnie ucałowała córkę, tak, że ta się zbudziła. Otworzyła o zy, wielkie niebieskie oczy, jak u matki, i popatrzała. Potem dziewczynka zaczęła się śmiać i chociaż matka przytrzymała ją, ześliznęła się na ziemię. Nagle spostrzegła tamte dwie małe na huśtawce, zatrzymała się i wysunęła języczek na znak podziwu.

Matka Tenardjer odwiązała swe córki, zdjęła je z huśtawki i rzekła:

— Bawcie się wszystkie trzy razem.

Kobiety rozmawiały dalej.

— Jak się nazywa malutka wasza?

— Kozetka.

— Ile ma lat?

— Trzeci zaczęła.

— To tak, jak moja starsza.

Tymczasem trzy małe dziewczynki skupiły się w jedno miejsce.

Jaśniejące ich czoła dotykały jedno drugiego.

— Jak to się dzieci prędko zaznajamiają z sobą! — zawołała matka Tenardjer. — Mógłby kto powiedzieć, że to trzy siostry!

Słowo to było iskrą, na którą zapewne oczekiwiała druga matka. Chwyliła rękę pani Tenardjerowej, wpatrzyła się w nią mocno i rzekła:

— Czy zechcecie chować dziecię moje?

Tenardjerowa odpowiedziała na to ruchem zadziwienia, który nie wyrażał ani odmowy, ani zgody. Matka Kozety mówiła dalej;

— Bo to widzicie, nie mogę zabrać z sobą córki. Robota nie pozwala na to. Tacy oni tam dziwni u nas. Sam Pan Bóg skierował mnie do waszego zajazdu. Kiedy zobaczyłam wasze małe, takie ładne, takie czyste i takie wesole, to mnie całą poruszyło. Powiedziałam sobie: oto jakaś dobra matka. Tak, to będą trzy siostry. A zresztą ja prędko wrócę. Czy chcecie wziąć moje dziecko?

— Trzebaby pomyśleć — rzekła Tenardjerowa.

— Dałabym sześć franków na miesiąc.

Tu głos mężki odezwał się z garkuchni:

— Nie mniej jak siedm franków i za sześć miesięcy z góry.

— Sześć razy siedm jest czterdzieści dwa — rzekła Tenardjerowa.

— Dam je — rzekła matka.

— Oprócz tego piętnaście franków na pierwsze koszta — dodał głos mężki.

— Razem pięćdziesiąt siedm franków — rzekła pani Tenardjerowa.

— Dam je — rzekła matka — mam ośmdziesiąt franków. Zostanie mi dosyć jeszcze na drogę. Będę iść pieszo. Tam będę zarabiała i jak tylko zbiorę trochę pieniędzy, wrócę po moja pieszczołkę.

Ukazał się właściciel garkuchni.

— To dobrze — rzekł.

Umowa została zawarta. Matka przepędziła noc w zajeździe, oddała swe pieniądze i zostawiła dziecię; nazajutrz rano udała się w drogę, spodziewając się prędko wrócić.

Pewna sąsiadka Tenardjerów spotkała Fantynę, kiedy ta odchodziła i wróciła, mówiąc:

— Spotkałam kobietę, która płacze na ulicy tak, że aż litość bierze.

* * *

Niedosyć jest być złym, by mieć powodzenie.
Garkuchnia szła źle.

Dzięki pięćdziesięciu siedmiu frankom podróżnej, Tenardjer uniknął protestu i zapłacił weksel, którego termin przypadał na dzień następnny.

Jak tylko te pieniądze zostały wydane, Tenardjerowie zaczęli patrzeć na dziewczynkę, jak na dziecko, które trzymają z litości i stosownie do tego obchodzili się z nią. Ubierano ją w łąchmany. Żywiono ją resztkami od wszystkich, trochę lepiej niż psa, trochę gorzej niż kota. Zresztą kot i pies byli to zwykli jej towarzysze w czasie jedzenia, Kozeta jadła z nimi pod stołem z drewnianej miseczki, jak one.

Matka co miesiąc pisywała, naturalnie przez trzecią osobę, dowiadując się o dziecko. Tenardjerowie odpowiadali zawsze to samo: Kozeta chowa się doskonale.

Matka Tenardjerowa nienawidziła to obce dziecko. Chociaż Kozeta tak mało miejsca zajmowała w domu, zdawało się jej jednak, że i to jeszcze działa się kosztem jej dzieci i że to maleństwo zmniejszało ilość powietrza, którym jej córki oddychały. Dla córek były same pieszczoty. Kozeta byle się poruszyła, natychmiast na głowę jej spadał grad kar gwałtownych i niezasłużonych. Biedna istotka nie mogła pojąć ani tego świata, ani Boga: ciągle karana, łajana, popychana, bita, widziała obok siebie dwie małe jak ona sama istotki, żyjące jak gdyby w promieniach jutrzeńki.

Upłynął rok, potem drugi.

Tenardjer, dowiedziawszy się skrytymi jakimiś drogami, że dziecię było prawdopodobnie nieprawem i że matka nie mogła się do niego przyznać, zażądał piętnastu franków na miesiąc, mówiąc, że „stworzenie” rosło i „jadło” i groził, że ją odeśle.

— Niech ona mnie nie nudzi! — wołał — cisnę jej bębna właśnie tam, gdzie się z nim ukrywa. Musi powiększyć płacę.

Matka płaciła odtąd piętnaście franków.

Z roku na rok dziecię rosło, a z nim nędza jego.

Jak tylko Kozetka zaczęła rozwijać się trochę to jest zanim nawet skończyła lat pięć, zrobiono z niej sługę domu. Posyłano ją po sprawunki, kazano jej zamiatać pokoje, podwórze, ulicę, myć naczynia stołowe a nawet nosić ciężary. Tenardjerowie uważali się w prawie tak postępować, tem bardziej, że matka zaczęła źle płacić. Dłużną im była już za kilka miesięcy.

Gdyby matka wróciła po upływie trzech lat, nie byłaby wcale poznała swego dziecięcia. Kozetka tak świeża i ładna w chwili przybycia

do tego domu, była teraz chuda i blada. W ruchach jej był jakiś niepokój. — Skryta! — mówili Tenardjerowie.

Niesprawiedliwość uczyniła ją kłótniwą, a nędzą zrobiła brzydką. Pozostały jej tylko piękne oczy, na które smutno było patrzeć, bo przez to samo, że były tak wielkie, większą w nich ilość smutku widać było.

Serce się rozdzierało, patrząc na to biedne dziecko nie mające jeszcze lat sześciu, jak trzęsąc się pod starymi łachmanami podziurawionego płócienka zamiatało ulicę zimą, przededniem, trzymając w swych małych czerwonych rączkach ogromną miotłę i mając łzy w wielkich oczach.

Mieszkańcy wsi nazywali ją Skowronkiem.

Lud miejscowy obdarzył tą nazwą tę małą istotkę nie większą od ptaka, drżącą, przestraszoną, trzęsącą się, która w domu i we wsi pierwsza budziła się co rana, którą zawsze przed świtem spotkać można było na ulicy lub w polu.

Tylko, że biedny Skowronek nigdy nie śpiewał.

Matka.

Tymczasem cóż się działo z matką. Gdzie ona była? co robiła?

Zostawiwszy małą Kozetę u Tenardjerów poszła dalej i przybyła w swe rodzinne strony. Tam udała się do fabryki i została przyjęta do pracowni kobiet. Rze niosło było zupełnie nieznaną Fantynie, nie mogła przeto być w niem biegłą i zarobek jej dzienny mało wynosił; ale i to wystarczało, zadanie było rozwiązane: zarabiała na życie.

Kiedy Fantyna zobaczyła, że żyje z pracy, uczuła chwilę radości. Żyć uczciwie z własnej pracy, jakaż to łaska niebios! Ochota do pracy wróciła jej rzeczywiście. Kupiła zwierciadło i cieszyła się, widząc w niem swą młodość, swoje piękne włosy, zapomniała o wielu rzeczach, myślała tylko o swojej Kozecie i o możliwej przyszłości i była prawie szczęśliwą. Najęła mały pokój i umeblowała go na kredyt przyszłego zarobku.

Nie mogąc powiedzieć, że jest zamężną, strzegła się mocno, mówić o swej córce.

Z początku, jakeśmy mówili, płaciła regularnie Tenardjerom. Ponieważ umiała tylko podpisać się, zmuszona była przeto pisywać do nich przez publicznego pisarza.

Pisywała często, zwróciło to uwagę.

W pracowni kobiet zaczęto z cicha szeptać, że Fantyna „pisywała listy” i że „miała miłostki”.
Zaczęto przeto śledzić Fantynę.

Oprócz tego, jej piękne jasne włosy i białe ząbki budziły niejedną zazdrość.

Zauważono, że w pracowni odwracała się często dla otarcia łez.

Były to chwile, w których myślała o swoim dziecięciu; może także o człowieku którego kiedyś kochała.

Przekonano się, że pisywała przynajmniej dwa razy na miesiąc, zawsze pod tym samym adresem.

Postarano się o adres. Wyciągnięto na język pisarza publicznego, zaprowadziwszy go do karczmy; starowina nie mógł się spotkać z czerwonym winem, ażeby nie wygadał przytem swoich sekretów.

Słowem, dowiedziano się, że Fantyna ma dziecko. „Musiała to być ładajaka dziewczyna”.

Wszystko to zabrało dość czasu; Fantyna przeszło od roku już była w fabryce, kiedy pewnego razu nadzorczyńni pracowni wręczyła jej pięćdzie-

siąt franków, mówiąc, że nie należy już odta do pracownic i namawiała ją, ażeby opuściła te okolice.

Był to właśnie ten miesiąc, w którym Tendarjer, domagał się piętnastu franków zamiast siedmiu.

Fantyna była przygnębiona. Nie mogła opuścić okolicy, bo winna była za mieszkanie i meble. Pięćdziesiąt franków nie wystarczało na pokrycie tego długu. Wyrzekła kilka słów błagalnych. Nadzorczyńni kazała jej natychmiast wyjść z pracowni. Przytłumiona wstydem więcej niż rozpaczą, opuściła pracownię i wróciła do swego pokoju.

Hańba jej była już wszystkim znaną!

Fantyna zaczęła starać się o służbę; chodziła od domu do domu. Nikt jej nie chciał. Nie mogła opuścić miasta. Kupiec tandeciarz, od którego wzięła meble, jakie meble! powiedział jej: Jeżeli oddalisz się z miasta, każę cię zaaresztować, jak złodziejkę. Właściciel domu, któremu dłużna była za mieszkanie, rzekł do niej: — Jesteś młoda i ładna, możesz zapłacić. Podzieliła pięćdziesiąt franków między właściciela i tandeciarza, oddała kupcowi trzy czwarte jego mebli, zatrzymując dla

siebie tylko to, co było koniecznem, i znalazła się bez pracy, bez zawodu, posiadając tylko jedno łóżko i mając długu około stu franków jeszcze.

Zacząła szyć grube koszule dla żołnierzy garnizonu i zarabiała na tem dwanaście su*) dziennie.

Córka kosztowała ją dziesięć su.

Wtenczas to zaczęła źle płacić Tenardjerom.

Tymczasem stara jedna kobieta, która zapalała jej świecę wieczorem, nauczyła ją sztuki, jak żyć w nędzy.

Fantyna nauczyła się, jak można obchodzić się bez ognia zimą, jak można ze spódnicy robić kołdrę, a z kołdry spódnicę; jak oszczędzać świecę, jedząc przy świetle okna z przeciwka.

W tym czasie mówiła do jednej ze swych sąsiadek:—Ba! mówię sobie: spiając tylko pięć godzin, a resztę czasu pracując nad szyciem, będę mogła przecież zarobić na chleb. A przytem, jak smutno, to się i jeść nie tak chce. Cierpienia, niepokój, trochę chleba z jednej strony, zmartwienia z drugiej, wszystko to wyżywi mię jakoś.

Gdyby w tej niedoli mogła mieć przy sobie

*) „su“ przed wojną około 5 fenigów.

20 „su“ stanowi 1 frank.

swą córkę, jakież to szczęście byłoby dla niej. Pomyślała o tem, żeby ją sprowadzić.

Ale jakże! kazać jej dzielić z sobą ten niedostatek! a przytem dłużną była Tenardjerom! Jak się uiścić? a podróż, jak ją opłacić?

Z początku Fantyna tak się wstydziła, że nie śmiała wyjść z domu. Kiedy była na ulicy, domyślała się, że się oglądano za nią i pokazywano ją sobie palcami; wszyscy patrzyli na nią, a nikt się nie witał; zimna i ostra pogarda przechodniów przeszywała jej ciało i duszę, jak mroźny wiatr.

Trzeba było jednak przyzwyczaić się do wzgardy, tak jak się była przyzwyczaiła do niedostatku. Powoli oswoiła się z tem. Po dwóch lub trzech miesiącach otrząsała się ze wstydu i zaczęła wychodzić, jak gdyby nic nie było. To mi wszystko jedno, mówiła.

Chodziła z głową podniesioną, z gorzkim uśmiechem na ustach, i czuła, że staje się bezczelną.

Nadmiar pracy męczył Fantynę i mały suchy kaszel, który przedtem już miała, powiększył się. Mówiła czasem do swej sąsiadki Małgorzaty: Zobaczcie, jakie mam ręce gorące.

Jednakże rano, kiedy starym połamanym grzebieniem czesała swe piękne włosy, które spływały i lśniły się jak jedwab, doznawała chwilowej przyjemności widząc swą urodę.

Fantyna zarabiała za mało. Długi jej zwiększały się. Tenardjerowie źle opłacani, zasypywali ją listami, których treść martwiła ją bardzo; opłacanie tych listów rujnowało ją w dodatku. Pewnego dnia napisali do niej, że mała Kozeta nie ma co włożyć na siebie na takie zimno, że potrzebuje wełnianej spódniczki, i że matka powinna przysłać na to przynajmniej dziesięć franków. Otrzymała list i miała go w swych rękach przez cały dzień. Wieczorem poszła do fryzjera, który mieszkał na rogu ulicy i odpięła przed nim grzebień na głowie. Śliczne jej jasne włosy opadły aż do pasa.

— Piękne włosy — zawołał fryzjer.

— Ile zapłacilibyście mi za nie? — spytała.

— Dziesięć franków.

— Utnijcie je.

Kupiła wełnianą spódniczkę i posłała ją Tenardjerom. Oni chcieli pieniędzy. Spódniczkę

włożyli na swoją córkę. Biedny Skowronek nie przestał się trząść.

Fantyna myślała sobie: Teraz już memu dziecku nie zimno. Okryłam je swemi włosami. Ost zyzoną swą głowę okrywała małemi okrągłemi czepczkami, w których jej było ładnie.

Ubóstwiała dziecię swoje.

Im ciemniej robiło się koło niej, tem jaśniej mały ten aniołek świecił w jej duszy.

Kaszel nie opuszczał jej i pot często okrywał plecy. Ludzie, którym dłuzna była, wyprawiali jej „sceny” i nie dawali spokoju. Spotykała ich na ulicy, zastawała na schodach. Spędzała noce bezsenne, płacząc i myśląc. Miała oczy błyszczące i czuła ból nieustanny w górnej części lewej łopatki. Kaszłała mocno. Szyła siedemnaście godzin dziennie; ale jeden przedsiębiorca robót więziennych, który po zniżonej cenie dawał pracę więźniom, nagle zniżył jeszcze tę cenę, co zmniejszyło dzienny zarobek wolnych robotnic do dziewięciu su.

Wierzyciele jej byli więcej niż kiedykolwiek nielitościwi. Tandeciarz, który zabrał wszystkie meble, mówił jej bezustannie: Kiedyż mi zapłacisz, łajdacz-

ko? Czegóż od niej chciano, dobry Boże! Czula się obsaczona i rozwijało się w niej coś z dzikiego zwierzęcia. Około tegoż czasu Tenardjer napisał do niej, że widzi, iż zanadto był dobrym czekając tak długo i że trzeba mu sto franków zaraz, a nie, to wyrzuci za drzwi małą Kozetę, zaledwie przychodzącą do zdrowia po chorobie, wyrzuci na chłód, na ulicę i niech się z nią stanie co chce, i niechaj zdechnie kiedy chce.

Sto franków, pomyślała Fantyna. Ale gdzież jest zawód, w którymby można zarabiać sto su dziennie?

— Nol — rzekła — sprzedajmy resztę.

Nieszczęśliwa została nierządnicą.

* * *

Święte prawo Chrystusa rządzi naszą cywilizacją, ale nie przenika jej jeszcze. Powiadają, że niewola znikła z cywilizacji europejskiej. Jest to złudzenie. Istnieje ona wciąż; ale cięży teraz nad kobietą i nazywa się nierządem.

Cięży nad kobietą, to jest nad wdziękiem, nad słabością, nad macierzyństwem. Jest to jedna z nienajmniejszych hańb mężczyzny.

Po kilku latach.

W kilka lat po wypadkach, któreśmy poprzednio opowiedzieli, w pierwszych dniach stycznia pewnego wieczora po dniu, w którym śnieg padał, jeden z elegantów, z owych niezatrudnionych, bawił się drażniąc istotę, która w balowej, wygorsowanej sukni, z kwiatami na głowie przesuwała się przed oknami kawiarni oficerskiej. Elegant ten palił cygaro.

Za każdym razem, kiedy ta kobieta przechodziła przed nim, on ciskał na nią kłęb dymu ze swego cygara i słów kilka, które zdawały mu się dowcipne i wesołe, jak np. Jakżeś ty brzydka; — A nie pójdziesz ty się schować; — i t. d.

Kobieta, smutne, ustrojone widmo, chodzące tam i napowrót po śniegu, nie odpowiadała mu, nie patrzyła nawet na niego i nie przerywając swojej przechadzki, w milczeniu i z ponurą regularnością wracała co pięć minut.

Próżniak, dotknięty zapewne tem, że tak mało sprawia wrażenia, skorzystał z chwili, kiedy kobieta się obracała, skradając się zbliżył do niej z tyłu, tłumiąc śmiech nachylił się, schwycił z ziemi garść śniegu i wcisnął go między jej obnażone

łopatki. Kobieta wydała ryk, odwróciła się, podskoczyła jak pantera i rzuciła się na mężczyznę topiąc mu w twarzy swoje paznogie, z najokropniejszymi wyrazami.

Była to Fantyna. Na hałas, jaki stąd powstał, oficerowie tłumnie wyszli z kawiarni, przechodnie zaczęli się gromadzić i utworzyło się wielkie koło śmiejące się, szydzące, przyklaskujące w około tych dwóch istot splecionych z sobą tak, że trudno było rozróżnić mężczyznę i kobietę: mężczyznę broniącego się, przyczem kapelusz mu spadł na ziemię; kobietę uderzającą nogami i pięściami, z potarganą głową, wyjąca, bez włośów, siną z gniewu, okropną.

Nagle mężczyzna wysokiego wzrostu szybko wyszedł z tłumu, chwycił kobietę za atłasowy jej stanik, błotem pokryty, i rzekł:

— Idź za mną!

Kobieta podniosła głowę; wściekły jej głos nagle przycichł, oczy nabrały wyrazu szklanego, z sinej stała się bladą i trzęsła się z przestachu. Poznała inspektora policji.

Elegant skorzystał z okoliczności i umknął. Inspektor policji przerznął się przez tłum

widzów, przerywając ich koło, i wielkimi krokami zaczął iść w stronę biura policyjnego, znajdującego się na końcu placu, ciągnąc za sobą nieszczęśliwą. Ta machinalnie dawała się prowadzić. Ani on, ani ona, nie wymówili jednego słowa. Tłum widzów, w przystępie wesołości, posuwał się za nimi, syjąc dowcipy.

Wszedłszy do biura policyjnego, Fantyna padła w jednym jego kącie, nieruchoma i niema, skulona jak pies, który się boi.

Sierżant odwachu postawił zapaloną świecę na stole. Inspektor usiadł, wydobył z kieszeni arkusz stemplowego papieru i zaczął pisać.

Skończywszy złożył papier i oddając go podoficerowi odwachu, rzekł:

— Weźmiesz trzech ludzi i zaprowadzisz tę dziewczynę do więzienia.

— Potem zwracając się do Fantyny: — Masz na pół roku.

Nieszczęśliwa zadrżała.

— Sześć miesięcy! sześć miesięcy więzienia! — zawołała.

Ale cóż się stanie z Kozetką!

Moja córka! Moja córka! Ależ ja winna jestem

jeszcze sto franków Tenardjerom; panie inspektorze, czy wiesz pan o tem?

Nie powstając z ziemi, kolanami pełzała po podłodze zabłoconej butami wszystkich tych mężczyzn, i składając ręce mówiła.

— Panie, zlituj się. Upewniam pana, że nie jestem winna. Gdybyś pan widział początek, sam zobaczyłbyś! Przysięgam, że nie jestem winna. To ten pan, którego nie znam, wsunął mi śnieg na plecy.

Czyż wolno jest kłaść śnieg na plecy, kiedy kto przechodzi i nie robi nic złego? To mnie poruszyło. Bo widzisz pan jestem trochę słaba!

Dobry panie inspektorze. Czyż niema tam nikogo, coby powiedział panu, że to prawda? Może źle zrobiłam, że się rozgniewałam. Wie pan, w pierwszej chwili trudno zapanować nad sobą. Człowiek unosi się. A przytem, jak ci kto włoży coś tak zimnego na plecy, kiedy się tego nie spodziewasz wcale. Wyobraź pan sobie, że muszę zapłacić sto franków, bo inaczej odeślą mi moją małą. O mój Boże! nie mogę jej mieć przy sobie. To takie szkaradne, co ja robię! O moja Kozeta, o mój aniołek Najświętszej Panny, co się z nią stanie, biedny kotek. Zlituj się nade mną panie.

Mówiła tak złamana we dwoje, łkając, tonąc we łzach, łamiąc ręce, kaszląc kaszlem suchym, urywanym, jękając z cicha żałośnym głosem. Byłaby wzruszyła granitowe serce, ale serca drewniane nie wzruszają się.

— No—rzekł inspektor — wysłuchałem cię. Powiedziałaś mi już wszystko? A teraz ruszaj! Masz twoje pół roku. Sam Pan Bóg nic już na to nie poradzi.

Na te słowa: sam Pan Bóg nic nie poradzi już na to, kobieta zrozumiała, że ostateczny wyrok zapadł.

Upadła szepcząc:

— Łaski!

Inspektor policji obrócił się plecami. Żołnierze chwycili ją za ramiona.

Od kilku chwil mężczyzna jakiś wszedł na salę niepostrzeżony. Zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie i słuchał rozpaczliwych prośb Fantyny.

W chwili kiedy żołnierze chwyтали nieszczęśliwą, która nie chciała powstać, on postąpił naprzód wyszedł z cienia i rzekł:

— Chwilę, jeżeli łaska!

Inspektor podniósł oczy i poznał niejakiego p. Madelena.

Był to człowiek mający koło pięćdziesięciu lat. P. Madelen przybył do miasteczka, jako prosty robotnik. Dzięki doniosłemu wynalazkowi, jaki zrobił w miejscowej fabryce, dorobił się on znacznego majątku i sprowadził dobrobyt na całą okolicę. P. Madelen robił majątek, ale nie widać było wcale by to było jego celem — wydawał wiele pieniędzy na miasto i na ubogich. Uposażył szpital, zbudował szkołę, założył ochronkę i kasę pomocy dla robotników starych i chorych. Przytem był bardzo dobry; krył się jednak ze swemi dobrodziejstwami tak, jak inni kryją się ze złemi czynami. Nigdy nie śpieszył z potępieniem i zawsze brał w rachunek okoliczności, mówiąc:

— Zobaczmy jaką drogą szedł błąd.

Powtarzał jeszcze:

— Błędy słabych i ubogich, są błędami silnych i bogatych. Utrzymywał, że wszystko się w tem zawiera: kochajcie jedni drugich, oświecajcie tych, którzy są ciemni. Otaczał go szacunek powszechny, jednogłośny i serdeczny.

On właśnie wyrzekł te słowa:

— Inspektorze, uwolnijcie tę kobietę!

— Panie, to być nie może.

— Jakto — zapytał Madelen.

— Ta nędznica znieważyla obywatela.

— Inspektorze — odpowiedział pan Madelen głosem pojednawczym i spokojnym — posłuchajcie. Jesteście porządnym człowiekiem i chętnie rozmówię się z wami. Rzecz się tak miała. Przechodziłem przez plac, kiedyście prowadzili tę kobietę; ludzie nie rozeszli się byli jeszcze, rozpytałem się ich i dowiedziałem się o wszystkim: to ten pan zawinił i jego to, przy dobrym policyjnym porządku należało zaaresztować.

Inspektor chciał jeszcze walczyć.

— Ależ, panie...

Wreszcie ustąpił przed niezwykłą powagą p. Madelena.

Fantyna usunęła się do drzwi, doznawała ona dziwnego wzburzenia umysłu. Słuchała jak nieprzytomna, patrzyła jak w osłupieniu i za każdym słowem pana Madelena czuła, jak straszne mroki nienawiści rozpraszają się i znikają a w sercu jej powstaje jakieś ogrzewające i niewymowne uczucie radości, zaufania i miłości.

Madelen zwrócił się ku niej i powoli mówiąc z trudnością głosem wzruszonym, odezwał się w te słowa:

— Słyszałem cię, kobieto. Sądzę, że mówiłaś prawdę i czuję, że tak jest. Zapłacę twoje długi, sprowadzę twoje dziecko, albo sama udasz się do niego. Będiesz żyła tutaj, w Paryżu lub gdzie zechcesz. Biorę w opiekę ciebie i twoje dziecko. Wróciwszy do szczęścia, zostaniesz znów uczciwą. A nawet, posłuchaj, powiadam ci to już teraz, jeżeli wszystko jest jak mówisz, a nie wątpię o tem, nigdy nie przestałaś być cnotliwą i świętą przed Bogiem. Oh! biedna kobieto!

Za wiele tego już było na biedną Fantynę. Mieć Kozetę! porzucić to haniebne życie! żyć spokojną, szczęśliwą, uczciwą z Kozetą! i widzieć ten raj nagle ukazujący się pośród nędzy. Patrzała na tego człowieka, który do niej mówił, ale zdawała się go nie rozumieć, wydała tylko dwa lub trzy łkania..

Poczem zemdląa.

* * *

Pan Madelen kazał przenieść Fantynę do szpitala. Powierzył ją opiece sióstr i te położyły

ją do łóżka. Wywiązała się gwałtowna gorączka. Fantyna przepędziła część nocy mającąc, mówiąc głośno. W końcu usnęła.

Nazajutrz koło południa zbudziła się. Tuż koło łóżka usłyszała jakiś oddech; odchyliła firankę i ujrzała p. Madelena, który stojąc patrzył na coś ponad jej głową. W jego wzroku, który zdawał się błagać kogoś, była litość i niepokój. Spojrzała w tym kierunku i spostrzegła, że wzrok jego spoczywał na krucyfiksie, zawieszonym na ścianie.

P. Madelen przedstawiał się oczom Fantyny, jakby otoczony światłością. Teraz był pogrążony jak gdyby w modlitwie. Długo patrzyła na niego, nie śmiejąc mu przerywać. Nakoniec odezwała się nieśmiało:

— Co to pan robisz?

P. Madelen stał na tem miejscu od godziny. Czekał żeby Fantyna obudziła się. Wziął jej rękę, dotknął pulsu i odpowiedział:

— Jak się czujesz?

— Dobrze, spałam — zdaje się, że mi jest lepiej. To przejdzie.

On, jak gdyby teraz dopiero usłyszał pytanie, które mu poprzednio była zadała, rzekł:

— Modliłem się do męczennika, który jest tam. — A w myśli dodał:

— Za męczennicę, która jest tu.

Przez całą noc i poranek p. Madelen zasięgał wiadomości. Teraz wiedział już o wszystkim. Znał historję Fantyny ze wszystkimi jej bolesnymi szczegółami. To też niezwłocznie napisał do Tenardjerów. Fantyna dłużną im była sto dwadzieścia franków.

Posłał im trzysta franków, żądając ażeby z tej sumy wzięli należne sobie pieniądze i natychmiast odesłali dziecię, gdyż chora matka żąda je mieć przy sobie.

To olśniło Tenardjerów.

— Do diabła — rzekł do żony — nie oddawajmy dziecka. To chudziątko może się jeszcze stać dla nas dojną krową.

Tymczasem Fantyna nie przychodziła do zdrowia. Była wciąż w szpitalu.

Siostry przyjęły tę kobietę ze wstrętem i ze wstrętem opiekowały się nią z początku.

Ale Fantyna rychło je rozbroiła. Miała pełno słówek pokory i łagodności, rozczułała także tem uczuciem macierzyństwa, które tak głęboko

w niej tkwiło. Pewnego dnia siostry usłyszały, jak mówiła.

— Kiedy byłam w grzechu, nie chciałabym była mieć Kozetki przy sobie, nie mogłabym znieść widoku jej oczu smutnych i zdziwionych. A jednak dla niej to wszystko robiłam i dla tego to Bóg mi przebacza. Będę na nią patrzyła, widok tej istotki niewinnej ulgę mi przyniesie. Ona nie wie. Jest to anioł, moje siostry. W tym wieku skrzydła nie opadły jeszcze.

Dwa razy p. Madelen odwiedzał ją i za każdym razem pytała go.

— Czy prędko zobaczę Kozetę?

On odpowiedział.

— Może jutro rano. Lada chwila nadjedzie. Oczekuję jej.

I blada twarz matki promieniała.

— Och — mówiła — jakże będę szczęśliwa!

Mówiliśmy już, że Fantyna nie przychodziła do zdrowia. Przeciwnie stan jej zdawał się pogarszać z każdym dniem. Owa garść śniegu przyłożona na obnażoną skórę między dwiema łopatkami spotęgowało chorobę, która już od lat kilku podkopywała jej siły. Doktor osłuchiwał Fantynę i pokiwał głową.

P. Madelen spytał doktora:

— I cóż?

— Ona podobno ma dziecię, które pragnie widzieć?

— Tak.

— No to należy pośpieszyć się z jego sprowadzeniem.

P. Madelen zadrżał.

Fantyna zapytała:

— Co mówił doktor?

P. Madelen usiłował uśmiechnąć się.

— Powiedział mi, że trzeba prędko sprowadzić dziecię. Że to przywróci ci zdrowie.

— Oh! — zawołała — ma słuszość! Ale co im jest, tym Tenardjerom, że tak zatrzymują moją Kozetkę. Oh! ona przyjedzie! Nakoniec szczęście już jest blisko mnie.

Tymczasem Tenardjer nie oddawał dziecięcia, wymyślając do tego rozmaite powody: że Kozeta była trochę słaba i nie można było wieźć jej zimą; że były jeszcze małe, krzyczące długi, których rachunki musiał zebrać i t. d. i t. d.

— Sam pojedę po Kozetę — rzekł pan Madelen.

Napisał list, który Fantyna mu podyktowała, i kazał go jej podpisać.

Prócz tego napisał był kilka wierszy na papierze, który podał zakonnicy, mówiąc:

— Moja siostró, oddacie to księdzu proboszczowi.

Papier nie był złożony. Siostra rzućiła nań okiem.

— Możecie przeczytać — rzekł

„Proszę księdza proboszcza zaopiekować się chorą, którą opuszczam w beznadziejnym stanie. Z pieniędzy, które pozostawiam, proszę spłacić wszelkie możliwe koszta. Reszta niech będzie dla ubogich”.

* * *

Wszyscy mamy jedną matkę: ziemię.

Tej matce oddano Fantynę.

Niedoczekala się powrotu p. Madelena — umarła tęskniąc do Kozetki.

Proboszcz sądził, że robi dobrze, a może być, że i zrobił dobrze, zachowując z tego co p. Madelen pozostawił wyjeżdżając, jak można było najwięcej pieniędzy dla ubogich. Bo i o kogoż wreszcie chodziło? o nierządnicę. Dlatego też

uprościł jej pogrzeb, przeznaczając dla niej tylko to, co było koniecznością, a co się nazywa wspólnym grobem.

Pogrzebano zatem Fantynę w bezpłatnym kącie cmentarza, który należy do wszystkich i do nikogo.

Szcęściem, Bóg wie, gdzie odnaleść duszę.

CZYTANIA ŻOŁNIERSKIE.

- № 1 (b) — Maurycy Zych — Echa Leśne
(w skróceniu).
- № 2 (c) — według A. Daudet'a — Dług
Ojczyźnie. Chorąży.
- № 3 (c) — według E. Amicis'a — O sar-
dyńskim doboszu.
- № 4 (b) — M. Rodziewiczówna — Kamie-
nie.
- № 5 (c) — według W. Hugo — Ocalenie.
- № 6 (c) — zbiorek — Czyn chwalebny.
- № 7 (c) — według H. Sienkiewicza —
Śmierć Longinusa Podbięty.
- № 8 (c) — według W. Hugo — Krzywda
(Życie Fantyny).
- № 9 (c) — według H. Sienkiewicza — Pan
Zagłoba.

Broszury oznaczone literą **c** czytane
być mogą przez wszystkich.

Broszury oznaczone literą **b** przeznaczone są dla czytelników *bardziej przygotowanych*.